

ŻYWIEC

Postęp techniczny we flocie nie tylko wyparł w ciągu ostatniego stulecia żagle i napęd parowy, nie tylko wprowadził na szlaki żeglugowe najróżnorodniejsze typy statków, ale zarazem odmienił atmosferę życia statkowego, co jest szczególnie odczuwalne dla starych marynarzy.

Na motorowcu „Orłowo” chyba najdłużej w naszej flocie uchował się pies. Ot, tak zwyczajny, szary kundel nie rzucający się specjalnie w oczy, ale za to pies z charakterem. Wszedł w którymś porcie europejskim niepostrzeżenie na pokład i tam już pozostał. Odczekał schowany w buchcie liny, kiedy statek wypłynął na morze, jak wytrawny blinda, dopiero wtedy uniósł głowę, rozejrzał się dokładnie, nosem namierzył kierunek i pomaszerował prosto, jakby znał statek, do kuchni. Spiczaste uszy postawił niby żagle, głowę podniósł do góry, dużymi okrągłymi oczami popatrzył spod opadających włosów na kucharza. Nie zaskomlał, nie zaszczekał. Zapatrzył się w szefa kuchni jak w obraz. Kucharz właśnie przestał pić piwo i zamierzał opróżnioną butelkę z rozmachem wyrzucić za burtę, gdy napotkał przymilne spojrzenie przybłądy. Przykucnął więc z butelką w garści i zajrzał dokładnie psu w oczy. Pies spokojnie wytrzymał to spojrzenie, jedynie ogonem zamerdzał przyjaźnie. Kucharz wstał więc, wziął kawałek mięsa ze stołu i zawołał:

– Żywiec, chodź do mnie!

Pies posłusznie podszedł do kucharza. Nie podskakiwał nerwowo do mięsa, nie wyrażał zniecierpliwienia. Czekał.

– Masz, Żywiec, dobre jesteś psisko i zagłodzone – powiedział, głaszcząc jednocześnie przybłądę po grzbiecie.

Pies wziął mięso delikatnie. Jadł je powoli, wyraźnie hamując swój apetyt. Jednocześnie z lubością przyjmował pieszczoty przyjaznej ręki. Wszedł młodszemu kucharzowi. Popatrzył na sielski obrazek.

– A to co? – zapytał.

– Nie widzisz? Mam psa.

– A skąd wiesz, jak się nazywa pies?

– Sam go tak nazwałem.

– To teraz zamelduj staremu, że mamy przybłądę na pokładzie.

– Tylko nie przybłądę – obruszył się kucharz. – Ma imię i należy do mnie. Sam widzisz, że to mądry pies. Nie wygłupia się, nie szczeka, merda ogonem i słucha. Trzeba nim się zająć, po to przyszedł na statek. Wyrobię mu świadectwo zdrowia i dopiero potem powiem kapitanowi o Żywcu.

– To może wyrobisz mu jeszcze świadectwo nosicielstwa i będzie nam pomagał w kuchni?

– Nie bądź taki dowcipny, tylko bierz się za kotlety. Chodź ze mną Żywiec – zwrócił się do psa.

Pies podniósł się i poszedł posłusznie za kucharzem.

– Widzisz? – powiedział do swego pomocnika. – Mądry pies.

Wiadomość o tym, że pies jest na statku obieğa wszystkich. Dotarła również do kapitana. Po kolacji załoga puknęła do kabiny szefa kuchni, żeby zobaczyć psa. Pies wykąpany, wyszczotkowany, leżał na kanapie, spoglądał na marynarzy swymi łagodnymi ślepiami i pozwalał się głaskać. Od razu zyskał sobie sympatię załogi.

– Żywiec! Chodź do mnie!

Pies podnosił się bez ociągania i podchodził do kucharza.

– Żywiec idź na swoje miejsce – komenderował kucharz.

Pies wstawał, podchodził do kanapy. Wskakiwał na nią i układał się w rogu, kładąc głowę na przednich łapach.

– Już ja z ciebie zrobię marynarza – przechwalał się kucharz. – Przyszedł do nas popływać, dlaczego ma z nami nie zostać? Niech zasmakuje marynarskiego żywota.

– Wiesz, że to teraz niełatwe, w każdym porcie pytają o świadectwo – przerwiał mu wywód bosman.

– No to co? Myślisz, że nie stać mnie na świadectwo? Jak stary nie zechce zaczekać, to wyrobię świadectwo za granicą, ale psa nie oddam. Najwyżej sam z nim zejdem ze statku – powiedział poważnie. – Zobaczycie jak go ubiorę.

Tej przechwałki nikt nie brał na serio. Kucharz znany był ze swojej fantazji.

Już następnego dnia po kolacji kucharz wyszedł z Żywcem na spacer. Pies był rzeczywiście ubrany i to nie byle jak. Miał na sobie białą bluzę w granatowe paski i spodenki. Na głowie marynarską czapkę z nazwą statku. O takie krawieckie zdolności i fantazję nikt szefa kuchni nie posądzał. Żywiec szedł za swoim nowym panem statecznie, jak przystało na dobrze ubranego psa. Nogi podnosił wyżej, jakby maszerował na defiladzie, szczególnie przednie zginał zgrabnie, stawiał pionowo, co dodawało mu wdzięku i wzbudzało zachwyty załogi.

Dopiero teraz, z tak ubranym psem, udał się kucharz do kapitana. Przedabiną wziął Żywca na rękę, zapukał i wszedł do salonu. „Orłowo” nie było statkiem, żeby kapitan wcześniej nie wiedział, co się nowego zdarzyło. W końcu pies wprowadził wyraźne ożywienie i nie na próżno ochmistrz pytał, czy może wydać kucharzowi dodatkowy karton piwa z kapitańskiej rezerwy. Przyjął kucharza zupełnie naturalnie.

– Słucham pana?

– Ja, panie kapitanie w sprawie psa...

– Aha...

– Właśnie tego, którego trzymam na ręku.
– A pan ma jeszcze jednego? Myślałem, że pan trzyma maskotkę – przekomarzał się kapitan.

– Ale gdzie tam! – ożywił się kucharz.

Postawił psa na podłodze. Żywiec stał nieporuszony, widocznie powaga kapitańskiego salonu albo ten fakt, że został tu wniesiony na rękach, uświadomił mu, że właśnie teraz należy zaprezentować się najgodniej. Nie kręcił głową, chociaż czapeczka nie sprawiała mu przyjemności. Ograniczała pole widzenia, a gumka pod szyję trochę go uwierała.

– A jak się wabi? – zapytał kapitan.

– Żywiec, takie mu właśnie nadałem – pochwalił się szef kuchni.

Na to słowo pies zareagował. Poruszył w miejscu nogami i zerknął w kierunku kucharza, zaraz jednak przeniósł wzrok na kapitana, jakby wiedział, że w tej rozmowie o nim jest ważniejszy.

– A dlaczego Żywiec?

– Piłem właśnie piwko, panie kapitanie, a on napatoczył się na mnie, więc bez większego namysłu tak go ochrzciłem, a on momentalnie to zaakceptował. Zdolne psisko – zachwalał psa, wiedząc, że wszystko zależy od kapitana.

– Ja też tak myślę, a piwo pije? – zażartował.

– Przyznam się szczerze, że jeszcze nie próbowałem, ale jak mu każę, to na pewno wypije.

– Możemy sprawdzić – zaproponował kapitan, co się kucharzowi nie za bardzo spodobało.

Nie wiedział, czy nie przesadził ze swą wiarą w psa. Pierwszy po Bogu zainteresował się Żywcem i trzeba to było wykorzystać. Kapitan wyjął butelkę piwa i nalał odrobinę do małego talerzyka. Postawił psu pod nos. Żywiec dalej nie tracił swej pozy. Chociaż nie wiedział, co się za tym kryje. Czy to podstęp, czy normalne zaproszenie do picia. Zapach z talerzyka zupełnie mu nie odpowiadał.

– No Żywiec, napij się! – zachęcał kucharz. – No napij się!

Pies popatrzył na kucharza. Zrozumiał polecenie, że musi to być ważne. Powoli zbliżył się do talerzyka i spokojnie zaczął chęptać zimne piwo. Wylizał talerzyk do końca, chociaż mu to nie smakowało i popatrzył na kucharza oraz kapitana, czy są zadowoleni.

– A więc nazwa pasuje – stwierdził kapitan.

– I co będzie dalej? – zapytał kucharz.

– Pana głowa w tym, co będzie dalej. Musi pan załatwić dla niego papiery. Nie chcę mieć w portach kłopotów. Pies należy do pana i pan za niego odpowiada. Zrozumiałe?

– Oczywiście – uradował się kucharz.

Nie przypuszczał, że tak łatwo kapitan się zgodzi.

– To lecę do chłopaków z wiadomością, że Żywiec pozostaje na statku. Dziękuję panie kapitanie! Pan nawet nie wie, jak to psisko wszystkim się spodobało.

Złapał energicznie psa pod brzuch, aż czapeczka przesunęła się Żywcowi na oczy i wyskoczył z nim na pokład. Miał rację. Sporo osób z załogi czekało na relację z wizyty u kapitana. Robiono nawet zakłady, czy pies zostanie na statku, czy nie.

– Jest nasz – radośnie oznajmił zebrany kucharz i puścił psa wolno.

Żywiec tańczył wokół nich, przywoływany i głaskany, jakby rozumiejąc tę wspólną radość w której uczestniczył. Jego życie odmieniło się na lepsze. Zrozumiał, że nie musi błąkać się po ulicach czy magazynach portowych bez domu i strawy. Nie musi walczyć z innymi bezdomnymi psami o śmierdzącą kość wyrzuconą na śmietnik albo kromkę stwardniałego chleba.

Kiedyś miał statecznego pana, który nawet go woził wózkami. Ale pan im bardziej był starszy, tym jego zainteresowanie psem malało. Aż któregoś dnia zabrał psa do samochodu i wywiózł w okolice portu. Pies przyjął to jako normalny spacer, ale gdy wysiadł z samochodu, pan z piskiem opon odjechał. Gonił za umykającym wozem. Nie wierzył, że został porzucony. Wpadł pod przejeżdżający samochód, który obtarł mu nogę i zrozumiał, że pozostał sam na ulicy. Tliła się w nim iskierka nadziei, że może pan powróci po niego; że to była tylko zabawa, ale upływ czasu uświadomił mu, że nie ma już swego pana ani domu; że jest nikomu niepotrzebny i stał się bezdomnym psem. Stał się portowym łazikiem. Odpoczywający robotnicy podzielili się z nim czasem śniadaniem albo szukali jedzenia po śmietnikach.

Wszedł nocą na „Orłowo” i rano znalazł nie jednego pana, ale całą gromadę ludzi przyjaźnie do niego nastawionych. To szczęście nie mieściło się w jego psiej głowie. Wszystkie drzwi, z kapitańskimi włącznie, stały dla niego otworem, a on bez obawy mógł je przekraczać pewny, że nic złego go nie spotka, tylko ciepłe słowo i przyjazny gest. Biegał więc po całym statku i domagał się pieśczot. Siadał na kolanach, spał w kojach, przez wszystkich hołubiony. Poznawał statek i panujące na nim zwyczaje. Również na krótko zapuścił się do maszynowni, ale panujący w niej hałas i zaoliwione schodki prowadzące na dół, nie bardzo mu przypadły do gustu. Wolał pokład. Biegał od marynarza do oficera czy bosmana. Często przesiadywał na mostku. Było tu spokojnie. Miarowy krok oficera wachtowego usypiał go, a sternicy przynosili z kuchni różne przysmaki, aby ich tylko nie opuszczał. To on powinien być wdzięczny im za to, co dla niego zrobili, a tymczasem oni zabiegali o jego względy. Zrozumiał, że nie musi tak się starać, gdyż i tak wszyscy dla niego są dobrzy i szczęśliwi, jeżeli czasami polizze ich po rękach.

To jak psim węchem poznawał zbliżanie się do krajowego portu, było zagadką dla załogi. Nie wiedzieli, że węch do tego nie był potrzebny. Poznawał to po ożywieniu marynarzy, po porządkach jakie robili w kabinach i rodzącej się przed portem atmosferze. Na dwa dni przed portem zmieniał swoje lokum

i przenośli się do kabiny kucharza. Nocował w niej. Kręcił się podekscytowany, ocierał o nogi szefa kuchni dając do zrozumienia, że on też oczekuje portu.

– Jak on to wyczuwa, że będzie port? – zastanawiał się głośno radiooficer.

– Pewnie podsłuchuje marynarskie rozmowy na mostku – zażartował kapitan.

– Panie kapitanie, ale coś w tym jest. Przecież na mapie się nie zna – zupełnie poważnie mówił ochmistrz, który na mapie też się nie znał.

– Węch, węch, kochany Romku – podpowiadał chief mechanik. – On lepiej wszystko wyczuwa niż ty shipchandera.

– A ty do czego pijesz?

– Do zepsutych pomarańczy, które nam ostatnio zafundowałeś – odpowiedział pierwszy mechanik.

– Zawsze musisz do żarcia wracać?

– A ty zawsze dajesz się wykiwać. Żywiec po tylu doświadczeniach by już zmądrzał.

Takie to rozmowy wynikały z powodu psa, który nieomylnie wyczuwał port i był gotów do przebierania się.

Wolna od wacht załoga zawsze uczestniczyła w tym przedstawieniu. Ubiorzy Żywca były coraz wymyślniejsze. Szyte na statku i w domach. Od tego rytuału przed polskim portem nigdy nie odstępowano. Pies, gdy tylko zauważył swój mundurek, objawiał szaf radości. Ogonem kręcił młynka. Najpierw wkładano mu kombinowaną bluzę, która spełniała rolę marynarskiej koszuli i marynarki. Potem spodenki i na koniec czapkę z nazwą statku. Po tym przebraniu w psich ruchach następowała widoczna zmiana. Żywiec bardziej okazywał swą radość spojrzeniem i machaniem ogona. Nie trząsał już tak głową, nie atakował nią i nie ocierał się o marynarzy, jak poprzednio. Przyjmował odmienną rolę – psa zdającego sobie sprawę, że port krajowy to coś odświętnego w życiu statku po długo trwającym rejsie.

Statek przypląwał do Gdańska na Nabrzeże Wiślane. Marynarze nie mieszkający na Wybrzeżu i nie mogący wyjechać do domu, często spędzali wieczory w „Vikingu”, restauracji o ustalonej renomie. Zresztą lepszej w Nowym Porcie nie było. Wystarczyło, że raz zabrali ze sobą Żywca, już wiedział, gdzie można wieczorem odnaleźć swych przyjaciół, bez których sam na statku się nudził. Tęsknił za nimi, przyzwyczajony do ludzkiej „sfory”. Przy trapie też było nudno. Wchodzili i wychodzili obcy ludzie, którymi musiał zajmować się trapowy, nie mając zbyt dużo czasu na zabawę z Żywcem.

Dlatego pies cichaczem wymykał się ze statku. Ubrany kolorowo, w swojej marynarskiej czapce, wzbudzał zainteresowanie przechodniów. Nazwa statku na czapce informowała, że nie jest bezdomnym psem i wie, gdzie idzie. Przebiegał na drugą stronę ulicy, przemykał się parkiem, biegł pod drzewami i płotami, i dopiero przed samym „Vikingiem” kilkoma susami pokonywał jezdnię.

Gdy drzwi do restauracji były otwarte, cichutko wchodził do środka. Jeżeli były zamknięte, pokornie czekał na wchodzącego albo wychodzącego klienta, aby między nogami wcisnąć się do środka. Wtedy rozglądał się i podbiegał do stolików zajmowanych przez jego marynarzy. Udawali, że się na niego gniewali, więc on też udawał, że jest bardzo zmartwiony i spokojnie czekał ze spuszczoną głową, kiedy wreszcie ktoś go poklepie po karku, a w głosie usłyszy przyjazną nutę. Wtedy wskakiwał na najbliższe marynarskie kolana i wiedział, że już może pozostać w „sforze” do samego rana.

Kelnerzy szybko przywykli do Żywca. Traktowali go bez mała jak klienta, któremu należą się pewne względy. Przynosili mu gratisowo w miseczce piwo. Żywiec po dość długim denerwującym spacerze, przyzwyczajony już na statku do piwa, z lubością zanurzał pysk w białej pianie i wypijał przyniesioną porcję, wzbudzając tym zachowaniem zainteresowanie klientów. Raz tylko usłyszeli, jak jedna pani, siedząca w większym towarzystwie przy stoliku, powiedziała dość głośno:

– Co też oni z tym psem wyprawiają, biedne stworzenie!

Wyraźny nacisk na „oni” z pogardliwą tonacją był nie do przyjęcia dla marynarzy. Ochmistrz nie wytrzymał.

– Chciałaby pani sama mieć takie pieskie życie, daję słowo. Nieprawdaż, Żywiec? – powiedział niby do psa.

Żywiec podniósł głowę do góry i zaszczekał radośnie, podtrzymując w ten sposób wyrażoną opinię. Żył bowiem na statku jak panisko.

– Gbur! – odpowiedziała pani i na tym wymiana zdań się skończyła.

Wraz z upływem czasu i wypitymi kieliszkami kompania statkowa pomału słabła, traciła animusz i chęć do żartów. Dojrzewała do powrotu. Żywiec cierpliwie czekał, siedząc na krześle albo pod stołem. Kiedy rozmowy marynarskie cichły, a słowa stawały się coraz mniej wyraźne, ocierał się o nogi, delikatnie podszczekiwał, pociągał marynarzy za nogawki, dając znak, że już czas wracać na statek.

– Dobra, dobra Żywiec, zaraz idziemy – odpowiadał na zaczepki marynarz.

– Nie bądź taki niecierpliwy. Statek jeszcze nie odpływa. Jesteś dorosły pies. Mógłbyś też wypuścić się na dziewczyny. Ale ty nie chcesz. Zresztą masz rację. Tu nie ma dobrych dziewczyn. Tu tylko można się spić ze smutku, ale taka nasza dola – użalał się przepitym głosem ochmistrz.

Żywiec jednak wiedział swoje i nie ustępował. Czym dłużej się ociągali, tym bardziej chciał ich wyciągać z knajpy. Uparcie tarł się o podłogę.

– Panowie! Żywiec ma rację i wie, co robi. Czas na nas – podejmował decyzję bosman. – Czeka nas dziś na pokładzie robota. Idziemy!

Podnosili się z ociąganiem i wychodzili. Żywiec holował ich na statek, żeby któryś się nie zgubił. Kładli się zmęczeni „życiem” do swoich koi. Pies też padał na dywan, obojętnie w jakiej kabinie i zasypiał z pyskiem między przednimi łapami. Czapka spadała mu na oczy.

Wszyscy przyzwyczaili się do Żywca. Zaakceptowali psa celnicy i wopiści. Stał się znany w porcie i całej flocie. O psu mówiło się jak o członku załogi. Nawet piloci przez UKF-kę pytali o psa. Im dłużej pływał na statku, tym bardziej nabierał marynarskich nawyków. Już nie trzeba go było namawiać na prywatne wypady. Nabrał psiej pewności, że może trochę pożyć w czasie postojów statku, na lądzie. Nieraz w ogóle nie wychodził ze statku, szczególnie gdy postój był krótki. Czasami znikał natychmiast po zacumowaniu i wyłożeniu trapu za burtę. Wracał po dwóch, trzech dniach, nieomylnie przed samym wyjściem statku w morze, jakby cały czas był w telefonicznym kontakcie ze statkiem. Jak on to wyczuwał trudno zgadnąć, ale się nie mylił. Nie mogli się temu wprost nadziwić. Skąd pies mógł wiedzieć, kiedy statek odpływa?

– Jak to jest? – zamyślał się kucharz. – Cholera, dzwoni człowiek na statek albo do Agencji Morskiej. Zmienia się tablica wyjściowa, a Żywiec przychodzi na statek godzinę przed odpłynięciem. To niesamowite.

– Czuje nasz statek na kilometry, gdyż innego wy tłumaczenia tego fenomenu nie znajduję? – zastanawiał się bosman.

Pies wrósł z kośćmi i ogonem w społeczność marynarską. Marynarze nie wyobrażali sobie życia bez Żywca, dzięki któremu na statku panowała domowa, życzliwa atmosfera. Można było go pogłaskać, popatrzeć w jego żywe przyjazne oczy, przytulić się do jego ciepłych kudłów. Fotografowali się z nim. Zdjęcia z Żywcem zdobiły domowe albumy, ukazywały się czasem w prasie z reportażami. Żywiec z kołem ratunkowym na szyi. Pies w mundurze i bez. Na kapitańskich rękach i w czapce kucharza. Nawet w „Morzu” można było znaleźć jego podobiznę. Stał się sławny w całej polskiej, a może nawet zagranicznej prasie.

O ile w polskich portach nie było z Żywcem kłopotów, to za granicą nie zabierali go ze sobą na spacer i pies to akceptował. Tylko w wycieczkach autokarowych zwykle im towarzyszył. Unikał jednak sam spacerów w mieście, jakby wiedząc, że to nie swojskie ulice. Czekał ich powrotu przy trapie i witał ich radosnym szczekaniem.

Zdarzyło się to w Stambule. Kucharz wychodząc ze swym pomocnikiem po zakupy do miasta, jeszcze przed trapem pogroził Żywcowi, żeby nie ważył się iść z nimi. Pies i tak podjął decyzję. Już na tłocznej stambulskiej ulicy, pełnej bazarów, kucharz spostrzegł, że pies idzie za nimi. Nie pozostało nic innego tylko iść dalej.

Żywiec, pomny napomnienia przy trapie, nie pchał się nachalnie do ich nóg, ale szedł za nimi w pewnym oddaleniu. Przeciskał się między przechodniami. Zatrzymywał zawsze w oddaleniu, gdy lustrowali jakąś wystawę.

Tak dobrnęli do sklepu ze skórami, gdzie kucharz postanowił kupić sobie upatrzoną wcześniej marynarkę. Bazar w Stambule to sztuka handlowania, bez której nie ma przyjemności. Cóż to byłby za kupiec, gdyby podawał realną cenę za towar? Co to za klient, gdyby ją od ręki płacił? Tak tylko mogą han-

dlować ludzie bez wyobraźni w Europie, którzy nie znają przyjemności bazaru i sztuki wzajemnego dogadywania się co do ceny. A one na tureckiej ulicy nie mają wiele wspólnego z wartością oferowanego towaru. Pieniądze nie mogą przechodzić z ręki do ręki bez słowa, bez gry, bez teatru. Takie pieniądze parzą w dłoń, nie przynoszą radości. Dlatego też na wskazaną przez kucharza skórzaną marynarkę kupiec bez zmruczenia oka powiedział:

– Jak dla drogiego klienta tylko siedemdziesiąt pięć dolarów! Piękna i dobra cena jak na dzisiejszy ranek.

– Trzydzieści – powiedział obyty w takich handlach kucharz.

Kupiec jak urodzony artysta podskoczył do góry, załamując teatralnie ręce nad taką ignorancją, a wyczuwając wytrawnego klienta, z którym trzeba się będzie targować i będzie miał wiele przyjemności, wpadł w trans gry handlowej.

– Na Allaha! Trzydzieści dolarów za tak przednią skórę? Skąd wy jesteście? To niemożliwe. Taka marynarka! W całej Europie takiej nie ma! – I zaczął ją obracać na obie strony, ugniatając, głaszcząc i wsłuchując się w delikatny skrzyp skóry. – Taki towar! Niech stracę, sześćdziesiąt dolarów! – opuścił cenę aż o 15 dolarów.

– Trzydzieści – spokojnie skontrolował kucharz, wykazując tym samym chęć kupna.

Teraz Turek odrzucił daleko na ladę swą marynarkę. Skrzyżował ręce na piersi i zaczął się modlić, dowodząc tym samym, ile musi wykazać cierpliwości, żeby się nie zdenerwować. Przerwa trwała krótko. Kupiec podbiegł do wieszaka, ściągnął inną skórę tego samego rozmiaru, przy której dopuszczał targ z niższego pułapu. Kucharz pokiwał głową, że nie, zmierzając zdecydowanie do wyjścia, przy którym warował spokojnie Żywiec. Handlarz podbiegł i złapał go za ramię:

– Tak nie można. Ja mówię swoją cenę, ty mówisz swoją i targujemy się dalej. Przecież chcesz kupić.

Podprowadził kucharza do lady. Podniósł odrzuconą marynarkę i wepchnął do ręki kucharza.

– Pięćdziesiąt pięć dolarów i jest twoja! Niech będzie moja krzywda. I tak do niej dopłacam. Jesteś jednak dziś moim pierwszym klientem i nie mogę cię puścić.

– Trzydzieści – bezlitośnie odpowiedział kucharz.

Handlarz zrezygnowany padł na pierwszy z brzegu puf leżący na podłodze. Trafiała kosa na kamień. Targ targiem, ale ten kupujący nie chce pójść na żadne ustępstwa ze swej ceny. Co to za przyjemność opuszczanie ceny tylko z jednej strony, gdy druga ani centa nie chce dołożyć?

– Jestem zmęczony tym targiem. Musimy trochę odpocząć – powiedział Turek. – Napijmy się kawy – zaproponował.

Przystali na propozycję. Innych klientów nie było w sklepie. Wypicie kawy w pewnym sensie zobowiązywało do kupna, stąd taki wybieg Turka. Zakrzętała się koło nich. Ustawił trzy kubki na podłodze między pufami. Nalał kawy i wskazał na pufy, by usiedli. Kucharz odłożył marynarkę za siebie, więc handlarz podniósł ją i stanął przed nieubłaganym klientem, prezentując ją jak torreador. Wtedy pod zwisającym rękawem kucharz ujrzał zbliżającego się do kubków Żywca. Pies bezszmerowo wypił z kubka handlarza przestygłą już kawę i tyłem wycofał się na ulicę. Handlarz dalej tokował, potrząsając marynarką przed oczami kucharza. Wreszcie zmęczony przysiadł na pufie i sięgnął po dopiero co opróżnioną przez Żywca filiżankę. Podniósł ją do ust i zobaczył zaczerwienione fusami dno. Popatrzył błędnym wzrokiem na filiżankę, przecierając sobie dłonią czoło, gdy oni kończyli pić kawę.

– Nie bardzo dobrze chyba dziś się czuję – powiedział Turek. – Przecież pamiętam, że nalewałem sobie kawę i nie piłem – zamyślił się. – Nie piłem – powtórzył. – Ile chcesz dać za tę marynarkę tak naprawdę? – zapytał.

– Tak jak mówiłem, trzydzieści dolarów.

– Jak dołożysz pięć, to ją dostaniesz, tylko dlatego, że coś się ze mną dzieje niedobrego i nie mam siły dalej się targować. Chyba jestem chory. – Popatrzył jeszcze raz na pustą filiżankę.

– Dobrze – odpowiedział kucharz i odliczył trzydzieści pięć dolarów Turkowi. Dobito targu. Handlarz włożył marynarkę do dużej torby i pożegnał ich z niewyraźną miną.

Wyszli na rozświetloną słońcem ulicę.

– Gdyby nie ten numer Żywca, za żadne skarby by nie spuścił na trzydzieści pięć dolarów – powiedział pomocnik do swego szefa.

Pies już dreptał za nimi. Nie bardzo zdawał sobie sprawę z tego, co zaszło. Filiżanka stała na podłodze, to pewnie czekała na niego. Nieraz przecież tak pił.

– No chodź cwaniaku! – powiedział kucharz. – Masz pomysły, nie ma co! Ale zobacz jaką piękną skórę kupiłem! – wyjął marynarkę z torby i podsunął pod nos Żywcowi.

Pies powąchał marynarkę. Nie sprawiło mu to przyjemności. Polizał dwa razy dla spokoju i spojrzał czule swojemu panu w oczy. Najważniejsze, że był razem z nimi i że znów wracali zadowoleni razem na statek, do swego domu na wodzie.